

I.

Ahime stał w drzwiach swojej chaty i patrzył, jak Abu Bakkar odchodzi, złorzecząc i wygrażając pięścią. Wiedział, że postąpił nierozsądnie, ale nie umiał zrobić inaczej. Nie potrafił. Zdawał sobie też sprawę, że mógł ściągnąć kłopoty nie tylko na swoją małą rodzinę, ale i w najgorszym przypadku, na innych mieszkańców wioski. Serce ścisnął mu strach.

Z głębi chaty rozległ się szloch córki.

Muszę wziąć się w garść – pomyślał.

Odrzucił gruby kij, którym przed chwilą groził Abu Bakkarowi i wszedł do środka, by pocieszyć dziewczynę.

- Już dobrze, Darsa, nie płacz. – Przemawiał do niej cichym i łagodnym głosem, głaszcząc po włosach. – Już sobie poszedł.

Darsa popatrzyła na niego przez łzy spojrzeniem pełnym przerażenia. Obydwoje nie musieli nic mówić, wiedzieli, że to dopiero początek kłopotów.

- Musimy być silni, żeby wygrać – powiedział Ahime stanowczym głosem. – Nie będzie mi byle przybłęda mówił, co mam robić.

Dziewczyna wstała z maty i przytuliła się do ojca.

- Dziękuję, tatusiu. Dziękuję, że mnie nie oddałeś.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

- Jakże bym mógł oddać swojego małego czarnego kwiatuszka w ręce Złego Człowieka? – Ucałował ją w czoło.

Nie mógł. Nie po tym, co Abu Bakkar zrobił ze swoją poprzednią żoną.

A wszystko zaczęło się od głupoty chłopców pasących kozy.

Pewnego dnia, jakieś dwa lata temu, znaleźli wycieńczonego mężczyznę leżącego bez przytomności u wylotu ścieżki - jedynej drogi do doliny, w której znajdowała się ich wioska. Sama dolina ukryta była przez naturę bardzo dobrze w sercu surowych i nieprzyjaznych gór, gdzie nie zapuszczał się nikt przy zdrowych zmysłach. Nawet jeżeli ktoś chciałby trafić do wioski, musiałby dokładnie znać jej położenie. W innym wypadku wędrowiec ginął w labiryncie nagich skał. Dzięki temu dolinę omijały zawieruchy wojenne i inne niepokoje targające resztą kraju. Czasami kilku mężczyzn szło do odległego o wiele dni drogi miasta, żeby wymienić znajdowane w jaskini kamienie na rzeczy, których ludzie w wiosce nie potrafili wytworzyć sami. Owa jaskinia oprócz tego, że idealna jako kryjówka na złe czasy, była też miejscem, gdzie znajdowano niekiedy ładne, zielone kamienie bardzo chętnie kupowane przez handlarzy w

mieście. Kamienie trzeba było sprzedawać ostrożnie, żeby „miastowi” nie zainteresowali się, skąd biedni chłopci je biorą. Gdyby tajemnica się wydała, oznaczałoby to ujawnienie położenia doliny, a tym samym równało się śmierci jej mieszkańców. Z tego względu wyprawy do miasta organizowane były niezwykle rzadko – nie warto było narażać spokoju i względnego dobrobytu wioski dla spraw mało istotnych.

Sama dolina była żyznym i bogatym w wodę miejscem. Dookoła sporego jeziora pełnego ryb i ptactwa wodnego żyjącego w przybrzeżnych trzcinach, rozciągały się pola uprawne i pastwiska dla krów. Natomiast kozy, z uwagi na ich niewielkie wymagania, pasano na skalistych, ubogich w roślinność zboczach doliny.

I tak spokojnie toczyło się życie mieszkańców Ukrytej Doliny do czasu, gdy kilku chłopców znalazło nieprzytomnego mężczyznę. Pasterze powinni zabrać go poza obręb doliny i zostawić wśród skał na pewną śmierć, jak nakazywał rozsądek, ale wiedzeni ciekawością i dobrym sercem zataaszczyli obcego do wioski. Potem było za późno i mężczyzna musiał zostać, żeby tajemnica doliny nie wyszła na jaw. Od starszyny dostał chatę, kawałek pola i krowę. Na nowy początek. Wziął sobie też żonę spośród miejscowych dziewcząt i wszystko zdawało się być na jak najlepszej drodze, gdyby obcy nie okazał się podłym, podstępny i mściwym człowiekiem. A także okrutnym, czego najbardziej doświadczyła jego żona, zakatowana przezeń na śmierć.

Mieszkańcy wioski nie byli aniołami – zdarzały się pomiędzy nimi kłótnie i waśnie, krótko też trzymali swoje kobiety, nigdy jednak nie mieli do czynienia z prawdziwie Złym Człowiekiem. Tak właśnie go nazwali. Abu Bakkar próbował siać między nimi ziarna niezgody, zatruwać jadem podejrzliwości ich codzienne życie, ale wśród ludzi z Ukrytej Doliny nie znalazł dla swych intryg podatnego gruntu. Owszem, na początku zdarzały się nieporozumienia powstałe za przyczyną Złego Człowieka, gdy jednak przekonano się o jego naturze, wolano go unikać, a słów nie brano poważnie. To powodowało u niego frustrację, którą zaczął wyładowywać na kobietach i dzieciach z wioski. Gdy stał się zbyt natarczywy wobec jednej z dziewcząt, jej ojciec, bracia i wujowie złapali go i stłukli kijami. Mieszkańcy wioski mieli nadzieję, że po takiej nauczce się uspokoi, ale stało się wręcz odwrotnie. Gdy wygoiły się rany Złego Człowieka, poszedł on nocą na pola ojca dziewczyny i spalił całe uprawy, a do jej łóżka wrzucił jadowitego węża. Na szczęście pies ostrzegł dziewczynę szczekaniem i dzięki temu uniknęła bolesnej śmierci.

Po tym i kilku podobnych wydarzeniach ludzie z wioski zaczęli się go bać i jeszcze staranniej unikać. A jego to cieszyło, gdyż lęk dawał mu nad nimi władzę – bezkarnie szantażował silniejszych i znęcał się nad słabszymi. Trzy razy młodzi mężczyźni zastawiali pułapkę, by go zabić, ale za każdym razem udawało mu się ich uniknąć. Później mścił się okrutnie. Wreszcie wybrano się do Czarownika, żeby ten zarządził nieszczęściu. Po wielu godzinach obrzędów i rozmów z duchami, Czarownik oznajmił z przykrością, że sprawa tyczy się żywego człowieka, powinna więc być załatwiona pomiędzy żywymi, bo duchy nie chcą się w to mieszać,

zwłaszcza, że Abu Bakkar ma za swojego opiekuna jednego z tych silniejszych i mało sympatycznych demonów.

A Zły Człowiek był coraz bardziej butny. Tak butny, że poszedł do ojca najpiękniejszej dziewczyny w dolinie, wnuczki samego Czarownika i zażądał jej za żonę. Ahime w odpowiedzi przyłożył mu kijem, a teraz stał, tuląc córkę i żałując w głębi serca swej porywczosci. Wiedział jednak, że za krzywdy, które wyrządzał ludziom, Abu Bakkar zasłużył na coś więcej niż tylko kij.

- Nie bój się, ojcze. Ja was obronię. – Dziecięcy głos wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał zaskoczony na chłopca stojącego w kącie chaty - to jego syn, Schariff. Jego oczko w głowie.

Nie ma nawet dwunastu lat, a ani myśli dać się zastraszyć Złemu Człowiekowi – pomyślał z dumą Ahime. – Kiedyś wyrośnie na wspaniałego mężczyznę.

Po takiej lekcji odwagi udzielonej przez własnego syna, Ahime postanowił rzeczywiście wziąć się w garść. Teraz musi być czujny i nie dopuścić, by jakaś krzywda stała się jego rodzinie. Był pewien, że Abu Bakkar będzie chciał zemścić się za doznaną obrazę.

I nie mylił się.

Niedługo po całym zdarzeniu w chacie Ahime zjawił się Starszy wioski. W milczeniu przyglądał się domownikom, aż wreszcie opadł na stołek.

- Był u mnie Abu Bakkar – odezwał się wreszcie. Odpowiedziała mu głucha cisza. Starzec westchnął ciężko. – Powiedział, że chciał z tobą porozmawiać o Darsie, a ty go pobiłeś. – Zawiesił głos.

W odpowiedzi Ahime tylko wściekle zgrzytał zębami.

- Oznajmił też, że teraz nie będzie cię już o nic prosił, tylko weźmie to, czego pragnie, a jeżeli ty albo ktoś inny staniecie mu na drodze, odpowie za to cała wioska. – Starszy nawet nie krył kolejnego westchnienia.

- Czyli doszło do tego, że otwarcie nam grozi? – W Ahime aż się gotowało, ale walczył ze sobą, żeby złość nie przysłoniła mu rozsądku.

- Ano – zgodził się starzec. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. – I co z tym zrobimy, Ahime? – spytał wreszcie.

- Nie możemy pozwolić dać mu się zastraszyć do reszty! Gdy teraz dostanie, czego żąda, to później już zawsze będziemy musieli spełniać jego życzenia. A jego chciwość, jak wiesz, nie zna granic.

- Mądrze mówisz, to rzeczywiście jest próba sił. – Starszy pokiwał głową. – Jednak sprzeciw może nas drogo kosztować. Może nawet czyjeś życie.

- Myślę, że zgoda na żądania tej hieny może nas kosztować jeszcze więcej.

Zapadła ciężka cisza. Po chwili Starszy odezwał się.

- To znaczy, że nie dasz mu Darsy? – spytał dla porządku, chociaż znał już odpowiedź.

- A czy ty oddałbyś mu swoją Rahani?

- Nigdy – bez wahania odparł starzec. – I dlatego doskonale cię rozumiem.

Odszedł, by zanieść odpowiedź Abu Bakkarowi czekającemu na wynik rozmowy pod chatą starego. Zły Człowiek miał nadzieję, że Ahime przemyślał wszystko na spokojnie i będzie żałował wybuchu. Usłyszawszy słowa posłańca, wpadł we wściekłość – miotał przekleństwa i groźby pod adresem całej wioski i każdego z osobna, a najbardziej złorzeczył Ahime. Przestał, gdy w rękach rozzłoszczonych ludzi pojawiły się pałki. Odszedł, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe zdania i od czasu do czasu wygrażając pięścią. Mężczyźni przestali uważnie go obserwować dopiero wówczas, gdy zniknął w gąszczu otaczającym wioskę.

- Chodźcie. Trzeba się naradzić – ponuro oznajmił Starszy.

Mężczyźni posłusznie poszli za nim do chaty zgromadzeń. Pierwszy głos zabrał Ahime.

- Bracia moi! – zaczął. – Dwa lata temu do naszej wioski przyszedł obcy. Ulitowaliśmy się nad nim i zamiast go zabić, by tajemnica naszej wioski była nadal bezpieczna, daliśmy mu dom, ziemię i bydło. Wśród naszych dziewcząt wybrał sobie żonę. Mógł mieć wszystko, czego zapragnął, ale okazało się, że człowieka o czarnej duszy nic nie jest w stanie zadowolić. Chciał coraz więcej i więcej, a my ze strachu przed zemstą zaspokajaliśmy jego żądania. Ale teraz, bracia, przyszedł czas, by powiedzieć mu: „dosyć!”. Nie będziemy się go więcej bać, bo jest nas wielu i jesteśmy silniejsi niż on. Nic więcej od nas nie dostanie, a jeżeli wciąż będzie nam groził, spalimy jego dom i pola, a Czarownik sprowadzi demona silniejszego niż ten jego opiekun, by się go wreszcie pozbyć.

W oczach niektórych mieszkańców wioski nieśmiało zaczęła przebłykiwać niemal już zapomniana duma.

Nagle tę magiczną chwilę przerwał głos z tyłu zgromadzenia.

- Mówisz tak dzielnie tylko dlatego, że chodzi o twoją córkę. – Wysunął zarzut jeden z mężczyzn, niezbyt przekonany argumentami Ahimego.

- I tu się mylisz, Sadiqu! – rzucił szybko Ahime. Był na to przygotowany. – Tu nie chodzi tylko o moją córkę, chociaż jej sprawa istotnie jest dla mnie bardzo ważna. Stawką jest coś więcej, odzyskanie spokoju całej naszej wioski. Spokoju utraconego wraz z przybyciem Złego Człowieka. Nie chcę więcej kłaść się spać, martwiąc się o swoje pola, czy z myślą, że ktoś może w nocy spalić mój dom. Czy nie nadeszła już pora, by znów zacząć żyć bez lęku, jak kiedyś?

Odpowiedziały mu głosy pełne entuzjazmu.

- Tak, już pora na to! Jesteśmy potomkami dumnego plemienia, a nie szakalami kulącymi się przed byle hieną! – wołali.

Starszy poczekał aż opadną emocje.

- Teraz – powiedział – musimy zabezpieczyć się przed zemstą Złego Człowieka, który pewnie siedzi w tej chwili w lesie i obmyśla plan, jak nas ukarać. Gdy tylko go zobaczycie, natychmiast do mnie przyprowadźcie. Zarządzam wystawienie straży nocnej na polach i w wiosce.

Jak powiedział, tak też się stało. W nocy pola i wioskę przemierzały kilkuosobowe patrole z pochodniami. Czasami wartownicy widzieli cień przemykający na granicy widoczności, a czasami słyszeli gniewne syki dochodzące z wysokich traw, brzmiące jakby ktoś przeklinał ich półgłosem

wściekły z powodu swojej bezsilności. Rano wokół pól i wioski znaleziono mnóstwo śladów tego samego człowieka. Domyślili się, że Abu Bakkar chciał spalić ich domy i uprawy, ale przestraszył się patroli. Próbował wprowadzić swoje plany w czyn przez kolejne kilka nocy, jednak strażnicy nie zaniedbywali swoich obowiązków i musiał odejść z niczym.

/

- Od kilku dni jest spokój – stwierdził Ahime. - Zły Człowiek przestał pojawiać się w okolicy. Może ugryzł go wąż?

- Nie liczyłbym na tak szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie w tym przypadku – westchnął Starszy. – Obawiam się, że te dni spokoju oznaczają tylko, że szykuje dla nas coś naprawdę paskudnego.

- Niestety, możesz mieć rację. Ta cisza prawdopodobnie ma uspić naszą czujność. Czy strażnicy nadal chodzą z kobietami po wodę?

- Tak, ale dzisiaj rano chłopcy pognali stada kóz w góry. Zaczęło brakować dla nich suchej paszy, a nie mogą przecież wyjadać trawy krowom, bo wkrótce bydło padnie nam z głodu. Trawy wystarczy tylko dla krów.

Ahime skinął głową. Od dłuższego czasu dręczyła go pewna myśl, aż wreszcie zdecydował się podzielić nią z przyjacielem.

- Jak sądzisz, czy Zły Człowiek potrafiłby przejść przez góry? – zapytał.

Starzec wzruszył ramionami, ale widać było, że jemu również ta sprawa nie daje spokoju.

- Nie wiem. Naprawdę, nie wiem.

- Może wysłać za nim ludzi?

- Zgoda. Jeżeli nie pojawi się do jutrzejszego ranka, pięcioosobowy patrol ruszy jego śladem – zdecydował Starszy.

Nie pojawił się. Pięciu młodych mężczyzn ruszyło na poszukiwania. Wrócili po dwóch dniach. Nieśli dwa duże pakunki owinięte kocami. Z ich twarzy bił smutek. Podeszli pod chatę Starszego, który czekał na nich przed drzwiami w asyście mieszkańców wioski.

- Wybacz, ojciec – odezwał się przywódca grupy, jego najmłodszy syn. – Nie zdążyliśmy na czas.

Jego ludzie delikatnie położyli tajemnicze pakunki na ziemi i odwinęli kocy. Zebrani zobaczyli ciała chłopców, którzy kilka dni temu wyruszyli z kozami. Jeden z nich miał roztrzaskaną głowę, a drugi głęboką ranę w klatce piersiowej. Matki rzuciły się z krzykiem rozpaczony na martwe ciała. Po chwili do kobiet dołączyło rodzeństwo zabitych. Ojcowie nie ruszyli się z miejsc, bo mężczyznom nie przystoi okazywanie uczuć, tylko w ich oczach wyczytać można było cierpienie.

- Kto to zrobił? – spytał drżącym głosem jeden z nich.

- Zły Człowiek – odparł przywódca oddziału. – Zabił ich i wyrznął całe stado.

Zapanowało ponure milczenie, słychać było tylko płacz kobiet. Nagle matka chłopca z rozbitą głową podniosła się z ziemi i stanęła przed Ahime, wyciągając oskarżycielsko palec w jego stronę.

- To twoja wina! – zawołała. – To przez twoją pychę Mukhtar nie żyje! Gdybyś oddał mu dziewczynę, nic takiego na pewno by się nie stało!

Ahime w milczeniu pochylił głowę. Wbrew zdrowemu rozsądkowi czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Czy gdyby rzeczywiście oddał Darsę Abu Bakkarowi, chłopcy jeszcze by żyli? Czy gdyby wiedział, jak to się skończy, poświęciłby córkę?

Nieoczekiwanie głos Starszego smagnął zgromadzonych niczym bicz.

- Milcz, kobieto! To nie Ahime jest winien, tylko Zły Człowiek! To przecież on, a nie Ahime, zabił te dzieci. Szukasz winnego i słusznie, ale to Abu Bakkar powinien oskarżać, a nie Ahime, który nie skrzywdziłby żadnego z nas. Albo powinnaś winić wszystkich – zatoczył ręką krąg. – Zbyt długo pozwalaliśmy panoszyć się Złemu Człowiekowi między nami i zatruwać nasze życie jadem nienawiści. Ale już wystarczy! Już nigdy więcej! Nadeszła pora, żeby odpłacić mu za śmierć tych chłopców i inne krzywdy, które spotkały nas z jego ręki. – Skończył i spojrzał surowo w twarze mieszkańców Ukrytej Doliny. Wszyscy zgodnie kiwali głowami.

- Teraz wracajcie do zajęć, a wieczorem spotkamy się u Czarownika – zdecydował.

Ludzie powoli się rozchodzili, rodziny zabrały swoich zmarłych. Na placyku przed chatą zostali tylko młody dowódca oddziału, który odnalazł ciała chłopców, Ahime i Starszy.

- Riduwan, czas na raport – zwrócił się stary do syna. – Czy posłałeś ludzi za mordercą?

- Oczywiście, ojczu. Moi tropiciele odkryli ślady świadczące, że Zły Człowiek szuka drogi do świata „na zewnątrz”. Dwóch ludzi zostawiłem z ciałami, we trzech poszliśmy za nim, ale pozostawiał mnóstwo pułapek, niewiele brakowało aby moi ludzie przypłacili to życiem. Chcąc uniknąć strat, zawróciłem, żeby jak najszybciej powiadomić was o wszystkim. Kiedy pomyślę, że był tylko o dzień drogi przed nami, a my nie mogliśmy go dopaść, krew się we mnie gotuje! – powiedział z gniewem. Widać było, że traktuje tę sytuację, jak osobistą porażkę.

- Skąd wiesz, że zrobił to Zły Człowiek? – spytał starzec.

Riduwan podał mu wisior w kształcie małego czarnego dysku z dziurką pośrodku i wrytymi znakami.

- To znaleźliśmy w zaciśniętej dłoni Hasima. Musiał zerwać go zabójcy, gdy ten wbijał mu nóż w serce.

Starszy pokiwał głową. Nie było już wątpliwości. Tylko jedna osoba w dolinie posiadała tę charakterystyczną ozdobę.

- Dobrze się spisałeś, Riduwanie – pochwalił syna. – A teraz idź do matki, niech cię nakarmi. A my pójdziemy do Czarownika – zwrócił się do Ahime.

/

Mężczyźni zbliżający się do chatki Czarownika leżącej poza wioską, zobaczyli kobietę sylwetkę znikającą wśród drzew.

- Już wie – stwierdził Starszy. – Któraś z bab mu doniosła.

Wspięli się po schodkach do wielkiej chaty służącej w specjalnych okolicznościach za miejsce zgromadzeń.

Czarownik oczekiwał ich. Siedział w mrocznym wnętrzu na dużym rzeźbionym krześle wyściełanym matą z trawy i spokojnie pykał fajeczkę. Przybysze usiedli na krzesłach, podsuniętych przez kobiety gospodarza.

- A więc wreszcie się stało. – Siwowłosa starzec pierwszy przerwał milczenie. Zwrócił na obu mężczyzn niewidzące oczy. Drgnęli nerwowo. Nie było w wiosce nikogo, kto by bez lęku mógł spojrzeć w wyblakłe, szare oczy najpotężniejszego człowieka w dolinie. Nawet najodważniejszych przyprawiał o dreszcze.

- Tak, najmądrzejszy, stało się – przyznał Starszy wioski. – Zabił chłopców, wyrznął stado, a teraz zapewne w imię zemsty idzie, by wydać naszą dolinę.

Czarownik w zamyśleniu pokiwał głową.

- Ślady prowadzą do przełęczy? – spytał.

- Tak. Nie ma wątpliwości, że kieruje się „na zewnątrz” – potwierdził Starszy. – A znając Abu Bakkara, trzeba spodziewać się najgorszego.

- To prawda. – Czarownik pykając zatopił się w myślach, zapominając o gościach. Zaraz jednak zdecydowanym ruchem podniósł głowę. – Przyjdźcie wieczorem, a powiem wam, czego się dowiedziałem. Spróbuję nakłonić duchy, by wyjawily mi jego plany i może tym razem mi się uda.

- Jedno mi nie daje spokoju – odezwał się Ahime. – Skąd Zły Człowiek znał ścieżkę, która prowadzi do świata poza górami? Wcześniej wiele dni błądził pomiędzy skałami w gorączce i w stanie skrajnego wyczerpania. Nie mógł wiele pamiętać, gdy trafił do doliny.

- Ech... – westchnął Starszy. – Znając jego metody, to pewnie wyciągnął informacje podstępem od kogoś znającego szlak, zastraszył albo użył szantażu. Nie ma co o tym myśleć, bo ten, kto zdradził mu tę tajemnicę i tak nigdy się nie przyzna.

- Jesteśmy zbyt miękczy! – parsknął ze złością Ahime. – Życie bez poważniejszego zagrożenia uczyniło z nas ślimaki bez muszli! Nie potrafimy bronić się przed złem i nienawiścią, a nasza naiwność i prostolinijność obróciły się przeciwko nam.

- To wszystko prawda, synu – spokojnie zgodził się z nim Czarownik. – Ale teraz idźcie już, bo czeka mnie długa i niebezpieczna podróż.

Posłusznie wyszli. Ponurzy zmierzali w stronę wioski.

- Myślisz, że Czarownik coś tu pomoże? – spytał Ahime Starszego, właściwie nie oczekując odpowiedzi.

Starzec westchnął ciężko. Pierwszy raz tego ciężkiego dnia opadła z niego maska spokoju i opanowania. Na twarzy zagościła udręka.

- Módlmy się do Allaha, żeby tak właśnie było, bo jeżeli on zawiedzie, to jesteśmy straceni. Jeżeli Zły Człowiek sprowadzi tu bandytów, wszystko jedno czy będą to wojska rządowe, czy rebelianci, to czeka nas brutalna śmierć, a nasze dziewczęta i kobiety cierpienie, hańba, upokorzenie, a dopiero później śmierć.

Ahime słuchał przerażony.

- Starcze! O czym ty mówisz?!

- Jesteś młody, poza górami byłeś tylko raz i nie masz pojęcia, jak wygląda życie „na zewnątrz”. – Starszy zajrzał mu prosto w oczy, a jego wzrok był martwy. Ahime przestraszył się tego spojrzenia.

- Przybyłem tu przed wieloma laty. Uciekałem przed mordercami, którzy zabili wszystkich, których kochałem i zabłądziłem w tych błogosławionych górach. Tutejsi ludzie mnie przygarnęli. Jak Abu Bakkara – zauważył z goryczą starzec. – Teraz już wiesz, dlaczego te dwa lata temu zgodziłem się by z nami został. Widziałem w nim siebie - chciałem, żeby i ta poraniona dusza odnalazła spokój w Ukrytej Dolinie. Jakże się myliłem...

Długo szli w milczeniu. Ahime uznał już, że to koniec wyznań Starszego, ale nie miał racji.

- Do mojej rodzinnej wioski przyjechali żołnierze. Nie wiem, co to była za wojna i nie obchodziło mnie to. My byliśmy zwykłymi rolnikami, którzy w ciężkich czasach starali się przeżyć. To jednak nie miało znaczenia. Ojcu i braciom odrąbano głowy tępymi maczetami. Mojemu najstarszemu synowi odrąbano ręce i nogi. Wykrwawił się – opowiadał Starszy, a Ahime milczał wstrząśnięty. – Młodszych chłopców powieszono wśród drwin i śmiechów. Moją matkę, siostry i żonę gwałcono tyle razy, że ich oczy stały się puste. I moje małe córeczki ... – Głos mu się załamał, a z oczu popłynęły łzy. – Potem te, które przeżyły dobili strzałami z karabinów.

Przez chwilę szli w milczeniu. Starszy jednak postanowił tym razem opowiedzieć całą swoją historię.

- Chciałem umrzeć. Rzuciłem się na nich z motyką, bo tylko ją miałem pod ręką. Na nic się to zdało. Dostałem kolbą, a gdy się ocknąłem zmuszali mnie bym na wszystko patrzył. Widziałem przerażenie w oczach moich bliskich. Te bestie śmiały się, gdy wyłem i próbowałem rozerwać więzy. W końcu moja dusza stała się pusta. Skoro przestałem szaleć, przestałem ich bawić. Zostawili jednego żołnierza, by mnie powiesił, a sami poszli plądrować chaty. Udało mi się go zabić i uciec. Sam nie wiem, jak to zrobiłem. Uciekałem wiele dni wciąż czując na karku ich oddech, ale znałem okolicę, więc udało mi się wywieść ich w pole. Dotarłem do tych gór i tutaj stracili ślad.

Stary sękatą dłonią otarł łzy, płynące po czarnych policzkach.

- Gdy pomyślę, że moją obecną rodzinę mógłbym stracić w ten sam sposób, ogarnia mnie paniczny strach – mówił, a zduszone łkanie szarpało jego ciało. Kiedy się uspokoił, jego twarz stała się jak zawsze nieprzeniknioną maską. – Do tej chwili moją historię znał tylko Czarownik. Teraz znasz ją i ty.

Ahime nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Sam widzisz, że wraz z przybyciem Abu Bakkara, z jego uczynkami, do naszej spokojnej doliny zawitało prawdziwe i straszne życie.

Ahime wrócił do domu. Szedł, jak pijany – nie zauważał ludzi po drodze, nie odpowiadał na pozdrowienia. W chacie osunął się na stół i ukrył twarz w dłoniach.

Zaskoczeni dziwnym zachowaniem ojca, Darsa i Schariff zbliżyli się niepewnie. Ahime objął ich mocno i zaszlochał gorzko.

/

Wieczorem u Czarownika zgromadzili się wszyscy mężczyźni. Kobiet nie dopuszczano do rady, więc pozostawało im podsłuchiwać pod trzcinyowymi ścianami.

Czarownik wyglądał źle. Ahime i Starszego uderzyło, jak bardzo zmienił się przez kilka godzin od ich spotkania. Nie siedział dumnie wyprostowany na pięknym krześle, jak zwykł to czynić, ale ciężko się o nie opierał. Z jego postaci było wielkie znużenie.

Gdy mężczyźni już się usadowili i umilkły szmery rozmów, Czarownik przemówił.

- Wszyscy wiecie, po co się tu spotkaliśmy, więc nie będę niepotrzebnie strzępił języka. – Silny i czysty głos przeczył jego wyglądowi. Zebrani spojrzeli z na ślepego starca ze zdziwieniem i zaniepokojeniem. Jeśli zrezygnował ze swoich ulubionych długich wstępów, to oznaczało, że sprawa była poważna.

- Dzisiejszego popołudnia odbyłem daleką podróż do świata duchów – oznajmił Czarownik. – Wspaniała istota, która mi czasami pomaga, zgodziła się zabrać mnie Drogą Duchów do miejsca, gdzie znajduje się obecnie przekłety Abu Bakkar.

Po chacie rozległ się szmer podnieconych głosów.

- Tak, moi bracia, odbyłem tę podróż i dowiedziałem się, że Zły Człowiek zagubił się w labiryncie skał.

Z piersi mężczyzn i podsłuchujących kobiet wyrwało się westchnienie ulgi. Rozległo się nawet kilka stłumionych radosnych okrzyków.

Czarownik uciszył zebranych ruchem ręki.

- Niestety, taki stan nie potrwa długo, gdyż demon, który się nim opiekuje, wkrótce wskaże mu drogę.

- Skąd o tym wiesz? – spytał jeden z młodych mężczyzn.

- Stał, że mój Przewodnik wymyślił fortel, dzięki któremu udało nam się zwrócić myśli demona w inną stronę. Nie potrwa to jednak długo, a demon powróci do Abu Bakkara i ten od razu odnajdzie drogę. Wtedy biada nam, bo wkrótce potem wróci i to nie sam, ale z wojskiem. A wszyscy domyślcie się, co to oznacza...

Odpowiedział mu jęk przerażenia. Każdy w wiosce słyszał opowieści o tym, co dzieje się „na zewnątrz”, jakich okrucieństw dopuszczają się bandyci i chociaż w większości nie do końca dawano temu wiary, to wystarczyło, by na mieszkańców doliny padł blady strach. Mężczyźni zerwali się na równe nogi i tylko Starszy i Ahime pozostali na miejscach.

- Trzeba uciekać! – krzyczeli. – Zabrać kobiety i dzieci do jaskiń w górach! Pakować dobytek! Trzeba uciekać natychmiast!

- I dokąd uciekniecie?

To zadane z jakąś nieludzką mocą pytanie sprawiło, że mężczyźni zamarli na chwilę, a potem bezsilnie opadli na maty.

Rzeczywiście, nie mieli żadnej alternatywy. Dolina była jedynym bezpiecznym miejscem. Poza nią wszędzie czaiło się zło, cierpienie i śmierć. W jaskiniach mogli schronić się na kilka miesięcy, lecz było to rozwiązanie tymczasowe. W górach panowały surowe warunki, a życie tam było dzikie i niebezpieczne. Przetrwaliby tylko najsilniejsi.

- Co radzisz, Czarowniku? – odezwał się Starszy. Ślepiec jakby tylko na to czekał.

- Od jutra zaczniemy przenosić żywność do jaskiń, a w ostateczności sami się tam przeprowadzimy. Zdajecie sobie sprawę, że to tylko odroczenie wyroku? Istnieje jednak jeszcze jeden sposób, który może ocalić całą naszą dolinę.

Słowa Czarownika potwierdziły ich najgorsze przypuszczenia, ale i dały nadzieję. Posypał się grad pytań od zdesperowanych mężczyzn, a także i kobiet, które w zamieszaniu wcisnęły się do wielkiej chaty. Gdy chodzi o życie wszystkich mieszkańców wioski, nikt nie zawraca sobie głowy prawami zwyczajowymi. Każdy chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia Czarownik, jedyna osoba mogąca ich ocalić. Wierzyli mu bez zastrzeżeń, gdyż wielokrotnie dowiódł swej niezwykłej mądrości.

- Rozumiem wasz strach, moi bracia, bo i mnie przeraziły dzisiejsze nowiny – przemówił silnym głosem. - Mój Opiekun i Przewodnik po Świecie Duchów widział jak się zasmuciłem, gdy poznałem zamiary Złego Człowieka i obiecał znaleźć rozwiązanie tego problemu. Myślał długo. Zdawało mi się, że minęła wieczność, bo musicie wiedzieć, że czas w tamtym świecie biegnie zupełnie inaczej. Sądziłem nawet, że zapomniał o mojej obecności, gdy nagle spojrzał na mnie swoimi wszystkowiedzącymi, czarnymi oczyma i powiedział, że być może jest ktoś, kto mógłby mi pomóc.

Zebrani w zatłoczonej chacie wstrzymali oddech.

- W Świecie Duchów żyje jeden dziwny demon, który w zamian za niezwykle i cenne książki spełnia życzenia. – Tutaj Czarownik zawahał się chwilę. – Mój Opiekun użył słów: „wykonuje pewne usługi”, ale że nie byłem pewien, co to dokładnie oznacza, więc zapytałem czy demon potrafiłby zatrzymać żołnierzy z karabinami. Opiekun tylko się na to roześmiał. Powiedział mi, że jeżeli zdołam przekonać go do pomocy, o nic więcej nie będę musiał się martwić. Ale przekonanie demona, to trudna sprawa.

Wstał Ahime.

- Wszystko bardzo pięknie. Ale my nie mamy żadnej cennej książki!

- Czyżby? – uprzejmie spytał Czarownik i z tajemniczym uśmiechem skinął na jednego z wnuków, który zniknął za zasłoną kryjącą część mieszkalną i po chwili wyłonił się z pięknie rzeźbionym pudełkiem. Podał je ślepcowi.

Ahime westchnął. Słyszał, że w wiosce przechowywany jest od pokoleń wielki skarb, przy którym kamienie z jaskini, to tylko błyskotki, ale nie wierzył. Teraz miał ujrzeć Świętą Księgę. Ugięły się pod nim nogi.

Zapadła cisza, słychać było tylko brzęczenie much. Lekki uśmiech błakający się na ustach Czarownika świadczył, że jest zadowolony z efektu. Z namaszczeniem wyjął księgę z pojemnika i pokazał zebranym.

Zobaczyli okładkę wykonaną z błękitnej skóry pokrytej wyblakłymi złotymi ornamentami.

Mieszkańcy wioski podziwiali skarb w nabożnym milczeniu. Nikt nie odezwał się ani słowem do momentu, aż księga znalazła się ponownie w pudełku.

W ich serca wstąpiła nadzieja.

- Jednak równie ważny, jak księga jest posłaniec – kontynuował Czarownik. – Opiekun ostrzegł mnie, że jeżeli posłaniec będzie nieodpowiedni, zginie, a razem z nim zginie nasza przyszłość.

- Jaki ma być ten posłaniec? – spytał Starszy. – Czy znajdziemy go pośród nas?

- Demon ceni czystość serca, niewinność, odwagę i poświęcenie – wyjaśnił ślepiec. – Długo się zastanawiałem i pierwszą osobą, do której pobiegły moje myśli, był twój syn, Starszy, Riduwan. Jest prawy, odważny i mądry nad swój wiek. Ale niektórych wymaganych cech mu brakuje.

Riduwan już uradowany myślał o czekającej go wyprawie, posmutniał.

- Kogo więc wybrałeś? – spytał Starszy, który cieszył się w głębi ducha, że niebezpieczeństwa ominą jego ukochanego syna.

- Wybrałem Schariffa, syna Ahime.

Ahime poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy. Jego jedyny syn...

Chciał wołać, że się nie zgadza, że Schariff jest jeszcze za młody, że to zbyt duże brzemię, ale usłyszał głos swego syna:

- Zgadzam się. Pójdę tam, gdzie znajdę demona. – Jego głos brzmiał jasno i czysto. Łzy cisnęły się do oczu Ahimego. Pomimo rozpaczy, jeszcze nigdy nie był z syna tak dumny. Nie będzie protestować. O jego chłopca właśnie upomniało się przeznaczenie.

- Pójdę z synem – oznajmił wstając. – Potrzebna mu będzie opieka. Jest jeszcze dzieckiem.

- Możesz go odprowadzić tylko do miejsca, gdzie kończą się góry. Ta droga jest przeznaczona wyłącznie dla niego i musi ją pokonać sam – powiedział Czarownik stanowczo.

Bezsilny sprzeciwił szarpnął sercem ojca. Wierzył ślepcowi jak wszyscy, ale bał się, że ten coś przeoczył i jego syn ruszy na niemal pewną śmierć na darmo. Podszedł do Czarownika

- Jesteś pewien, że ta podróż ma sens? Abu Bakkar jest już daleko i nawet gdyby Schariff zaraz wyruszył, nie wyprzedzi go.

- Abu Bakkara zostaw mnie i mojemu Opiekunowi. Powstrzymamy go najdłużej jak się da, zwodząc i zsyłając nieszczęścia. Co prawda jego demon jest silniejszy, ale mój bije go sprytem.

Czarownik wstał z krzesła, ciężko opierając się na przystrojonej piórami lasce.

- Zebranie zakończone – oznajmił.

Ludzie powoli wychodzili z chaty, rozmawiając przyciszonymi głosami. Został tylko Czarownik, Ahime i Schariff. Ślepiec zwrócił niewidzące oczy w stronę Ahime.

- Idź do domu. Muszę porozmawiać z twoim synem, a to, co chcę mu przekazać, przeznaczone jest tylko dla jego uszu. Będzie jeszcze czas, żeby się pożegnać – dodał łagodnie.

Ahime odszedł bez słowa, a z twarzy Czarownika opadła maska. Na krześle znów siedział zmęczony starzec.

- Podejdz, Schariffie – zwrócił się do chłopca. Mocno go przytulił.

- Allah mi świadkiem, że miałem wobec ciebie inne plany i że wolałbym wysłać w tę podróż kogo innego – szepnął. – Ty jesteś radością schyłku mojego życia. Chciałem, żebyś za kilka lat mnie zastąpił i prowadził ludzi z Ukrytej Doliny tak, jak ja to robię. – Przerwał na chwilę i odkaslnął, żeby pozbyć się ucisku w gardle. – Jeżeli jednak nie uda nam się zażegnać niebezpieczeństwa, to nie będzie kogo prowadzić. Jesteś jedyną osobą, która może uratować nas wszystkich, dlatego choć serce się sprzeciwia, muszę cię wysłać w tę podróż. Gdy wrócisz, a jestem pewien, że tak będzie, staniesz się prawdziwym Wiedzącym.

Chłopiec pogładził sztywne siwe włosy starca.

- Tak, dziadku. Zobaczysz, że wrócę i wszystko się dobrze ułoży, a ty będziesz miał jeszcze wiele lat, żeby mnie wszystkiego nauczyć, zanim zostanę Czarownikiem. Ja wiem, że to niebezpieczna droga, ale poradzę sobie.

Nie mam innego wyjścia - dodał już tylko w myślach.

Ślepiec wypuścił go z objęć i otarł łzy.

- Pomogę ci, jak tylko będę potrafił, ale pamiętaj, że powodzenie misji zależy wyłącznie od ciebie. – Spojrzał na wnuka, jakby chciał zajrzeć do jego duszy. – A więc słuchaj, co musisz zrobić...

II.

Biegł pustą równiną na zachód. W oddali za plecami majaczyły wysokie góry, które przez całe swe życie uważał za najbezpieczniejsze miejsce na świecie - miejsce, gdzie nie może przytrafić się nic złego. Teraz zostawiał je za sobą, tak samo, jak ojca, który żegnał go u ich stóp. Schariff starał się nie myśleć o bólu w jego oczach. Musi być silny.

Biegł szybko, a świat oglądany przez łzy był rozmazany i niewyraźny. Potknął się i upadł na kolana. Wybuchnął łkaniem, którego przyczyną nie był ból otartej skóry, lecz poczucie bezgranicznej samotności. Był sam w świecie „na zewnątrz”, pełnym okrucieństwa i ludzi-bestii zabijających dla przyjemności. Był tylko dwunastoletnim chłopcem, zmuszonym do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za życie innych. To było proste – wstać i powiedzieć, że przyjmuje się misję. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, na co się porwał. Sam na olbrzymiej równinie – mały i nic nieznaczący, goniący za wytworem umysłu szalonego starca.

Nie! Nie może tak myśleć! Nie może dopuszczać do siebie wątpliwości, bo jeżeli słowa Czarownika były kłamstwem, to wioski nic nie uratuje, a jego wyprawa od samego początku skazana jest na porażkę.

Dziadek miał rację, przecież on nigdy się nie mylił. Schariff musi tylko odnaleźć demona. Tyle osób na niego liczy...

Zrozpaczony, sparaliżowany przerażeniem próbował wziąć się w garść. Pocięgę przynosił mu szary kamyk, który mocno przyciskał do piersi, jakby w nim upatrywał ocalenia. Dziadek ofiarował mu ten talizman, zapewniając, że posiada niezwykle moce, które w razie niebezpieczeństwa mogą przyjść mu z pomocą.

Miał też ze sobą torbę, a w niej trochę jedzenia i Świętą Księgę starannie owiniętą starymi szmatami, tak, żeby nie przyciągała niczyjej uwagi. W kilku miejscach koszuli i spodenek zaszyto małe zielone kamyki, na wypadek, gdyby trzeba było kogoś przekupić. Wioska zaopatrzyła go w podróż najlepiej, jak umiała.

Wyplakawszy łzy Schariff otarł oczy i ruszył w drogę. Kierował się w stronę misji chrześcijańskiej leżącej dwa dni drogi od gór. Tam, według słów dziadka, miał czekać na samolot, który przywozi zapasy i którym trzeba będzie polecieć do innego kraju. Misja, samolot, chrześcijaństwo. Wszystkie te słowa były nowe i chociaż opisano mu, co każde oznacza, ciężko było sobie wyobrazić rzeczy, które przedstawiają.

Na razie musi się skoncentrować na dotarciu do miejsca zwanego „misja”, a potem się zastanowi co dalej.

Po kilku godzinach dotarł do traktu, o którym wspominał Starszy i skierował się na północ. Trochę biegł, trochę szedł, czasami odpoczywał. Zdawał sobie sprawę, że to najniebezpieczniejsza część trasy, bo w tym kraju mógł go zabić każdy, bez żadnego większego powodu. Dlatego unikał ludzi. Na szczęście ta droga było rzadko uczęszczana, gdyż przez cały dzień minęły go tylko dwie stare ciężarówki pełne kóz i owiec. Schariff obserwował je z przydrożnych chaszczki. Krył się zawsze, gdy tylko zobaczył chmurę pyłu na horyzoncie. Noc spędził w największym gąszczu, drżąc przed nocnymi drapieżnikami.

Chyba jednak udało mu się zdrzemnąć, bo gdy otworzył oczy, słońce wznosiło się już nad horyzontem. Ruszył w dalszą drogę, a w jego sercu zaczęła budzić się nieśmiała nadzieja, że skoro, do tej pory, nie spotkało go nic złego, to może zdoła wykonać powierzone zadanie.

Okolo południa zobaczył ptaki zataczające kręgi na niebie nad miejscem, przez które miał przejść. Nie powinien go omijać - zbaczając z drogi mógłby wpakować się w jeszcze większe kłopoty. Nie chciał się zagubić na pustkowiu.

Ostrożnie ruszył w tamtym kierunku. Przemykał od zarośli do zarośli, aż ujrzał wypalone ruiny chat. Serce mu zamarło, gdy zrozumiał, że ciemne przedmioty pomiędzy nimi, to ludzkie ciała. Martwą ciszę wypełniało skrzeczenie ptaków i bzyczenie setek much. Chłopiec zaczął dygotać na całym ciele. Z jego ust popłynęły zaklęcia, których nauczył go dziadek, mające odpędzić duchy zmarłych złą śmiercią. To przerażające, że chcąc iść dalej musi przejść obok tego, co zapewne jeszcze dzisiejszej nocy było wioską pełną żywych ludzi. Śmierć musiała przyjść przed świtem, bo nie było już czuć dymu, a nocne drapieżniki nie zdążyły rozwłóczyć ciał po okolicy.

Schariff najchętniej odwróciłby się na pięcie i uciekł, ale świadomość, że może pozostał tam ktoś żywy, nie dawała mu spokoju. Zbliżył się do tego, co niedawno było skrajnymi chatami wioski. Przed nimi leżeli mężczyźni powykęceni w agonii, z potwornymi ranami od cięć maczetą, podziurawieni przez kule. Kobiety nagie, z rozrzuconymi nogami, z wyrazem cierpienia zastygłym na martwych twarzach. Niektóre starały się chronić dzieci, ale najczęściej ginęły razem z nimi. Schariff bał się wchodzić do tego, co zostało z chat. Po odorze spalonego mięsa mógł się domyślić, co tam zastanie.

Gdy dotarł do centralnego placu wioski, zobaczył straszliwą scenę. Na dwu skrzyżowanych belkach wisiał martwy mężczyzna. Jego twarz pokrywały chmary much, a po jelitach wylewających się z otwartego brzucha wędrowały tysiące mrówek, prosto do wnętrza ciała.

Schariff zwymiotował. Jak można być tak okrutnym w stosunku do innego człowieka? Ludzie, którzy to zrobili musieli być gorsi niż bestie z najgorszych koszmarów. Nagle kątem oka zauważył ruch ukrzyżowanego. Ależ tak, wiszące ciało lekko drgnęło. Chłopiec wrzasnął i uciekł za róg najbliższej chaty. Po chwili lękliwie wytknął głowę z nadzieją, że ciało nie zaczęło się jeszcze zmieniać w straszego zjadacza zwłok, o których tyle słyszał w dzieciństwie od starszych chłopców.

Zamiast tego usłyszał słaby jęk. Schariff przez chwilę stał zdezorientowany. Czy zjadacze zwłok jęczą? Zaraz jednak uderzył się dłonią w czoło. Ależ z niego idiota! To nie żaden zjadacz zwłok! Po prostu ten człowiek ciągle żyje!

Błyskawicznie podbiegł do okaleczonego mężczyzny. Odgonił muchy z jego twarzy. Tamten błagalnie wpatrywał się w chłopaka opuchniętymi i zaropiałymi oczyma.

- Jak mogę ci pomóc? – spytał. W odpowiedzi rozległ się jęk. Przynsunął ucho do ust mężczyzny.

- Zabij mnie... – usłyszał cichy szept. Odskoczył przerażony.

- Nie mogę! – krzyknął.

- Zabij mnie...

- Nie! Pomogę ci! – Po tym, jak wypowiedział te słowa zorientował się, że nic nie może zrobić. Muchy zdążyły złożyć jajka w jego twarzy, a mrówki zaczęły drążyć jego ciało. Każda chwila życia była dla tego człowieka niewyobrażalnym cierpieniem.

- Ale ja nie chcę go zabijać! – myślał spanikowany Schariff. Myśl o zadaniu śmierci przerażała go. Co prawda zabijał już razem z ojcem kozy ze stad, ale koza to nie człowiek.

Spojrzał na mężczyznę i zobaczył nieme błaganie w jego oczach. Z trudem skinął głową i rozejrzał się. Pod ścianą jednej z chat leżała porzucona włócznia. Schylił się po nią z ciężkim sercem. Podszedł do wiszącego człowieka i przyłożył mu grot do piersi. Mężczyzna patrzył z wdzięcznością, a gdy Schariff naparł na włócznię, jego oczy zgasły.

- Niech cię Allah prowadzi – szepnął chłopiec przez łyzy i biegnąc opuścił spaloną wioskę.

Zapłakany szedł wzdłuż drogi. Nie widział piasku, rachitycznej trawy, ani niczego dookoła, tylko twarz konającego mężczyzny. Łkając żałośnie,

nie rozpaczał nad sobą, ani nad tym, że musiał zabić człowieka. Wiedział, że nie było innego wyjścia. Opłakiwał tego mężczyznę i jego cierpienie, godziny, które przeżył, celowo zostawiony przez napastników z rozplatanym brzuchem. Schariffa dręczyła świadomość, że gdy zawiedzie, podobny los może czekać mieszkańców jego wioski.

Oprzytomniał dopiero na dźwięk silników, ale było za późno. Obok niego nie wiadomo skąd zjawily się terenówki wyładowane żołnierzami z karabinami maszynowymi w rękach. Dwóch z nich zeskoczyło na ziemię obok chłopca i brutalnie rzuciło go w pył drogi.

- No, to już po mnie – pomyślał Schariff zły, że cena chwili jego słabości może być bardzo wysoka, a zapłacą ją mieszkańcy Ukrytej Doliny.

Jeden z mężczyzn złapał go za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Chłopiec zobaczył, że obok w samochodzie na miejscu kierowcy, siedzi człowiek w mundurze i wielkich słonecznych okularach odbijających otoczenie. Mężczyzna pochylił się w jego stronę, a chłopiec nie zobaczył jego oczu, tylko siebie siedzącego w pyłe drogi, sparaliżowanego ze strachu. W okularach zobaczył też żołnierza, przykładającego mu karabin do głowy. I rzeczywiście, poczuł chłód lufy na skroni.

- Nie – powiedział mężczyzna w okularach. – Zabierzcie go do innych.

Po tych słowach stracił zainteresowanie chłopcem, wyprostował się w swoim fotelu i dał sygnał do odjazdu.

Człowiek, który przed chwilą chciał zabić Schariffa, zaciągnął go do ostatniego samochodu, ciężarówki bez plandeki pełnej chłopców siedzących na podłodze, równie wystraszonych, jak on. Pilnowało ich dwu uzbrojonych strażników z ładownicami skrzyżowanymi na piersiach. Schariffa wrzucono między innych i kolumna ruszyła w dalszą drogę. Dopiero teraz poczuł, że kamyk od dziadka jest dziwnie gorący.

Jechali aż zaczęło zmierzchać, a wtedy porywacze zatrzymali się na nocleg. Chłopców zrzucono z ciężarówki, jedni mężczyźni rozpalali ognisko, inni przeszukiwali zdrętwiałe ze strachu dzieciaki. Jeden z nich znalazł w torbie Schariffa księgę. Zaskoczony nie wiedział, co zrobić, aż dowódca przyglądający się akcji, podszedł i wyjął mu ją z ręki. Nakazał podwładnemu, by wrócił do swojego zajęcia, a sam włączył latarkę i przeglądał zdobycz. Po chwili podniósł wzrok.

- Czyje to jest? – spytał, choć doskonale wiedział, do kogo należała torba, w której kryło się znalezisko.

Schariff też zdawał sobie z tego sprawę, więc bezcelowe było ukrywanie się. Niepewnie unióśł dłoń.

- Proszę, proszę... Nasza ostatnia zdobycz. – Jego głos był tak przerażająco łagodny, że chłopcu po plecach przeszły ciarki. – Skąd masz tę księgę?

Zęby Schariffa szczękały tak, że trudno było mu otworzyć usta. W gardle miał pustynię.

Nie mogę powiedzieć prawdy, myślał gorączkowo. Przełknął ślinę i zmusił się do mówienia.

- To księga dziadka – szepnął niemal bezgłośnie, ale mężczyzna usłyszał.

- A gdzie on teraz jest? – spytał. – Ma więcej takich książek?
- Nie żyje. Mieszkał w tej wiosce, którą spalono – wydusił przez ściśnięte gardło. Wiedział, że to gra o życie. – Miał tylko tę jedną księgę ukrytą w schowku.

Dowódca patrzył na niego podejrzliwie.

- A jak to się stało, że ty żyjesz?

- Nie było mnie w wiosce. Szukałem psa, który mi uciekł – tłumaczył się Schariff. Czuł, jak kamień na piersi powoli się rozgrzewa.

- A gdzie był ten schowek, że księga się nie spaliła?

- Pod ziemią – odpowiedział chłopiec bez zastanowienia. Był gotowy na to pytanie.

- A skąd twój dziadek miał tę księgę?

- Od swojego dziadka. Jest przekazywana z pokolenia na pokolenie – wyjaśnił Schariff.

Dowódca uznał wyjaśnienia za wystarczające, bo machnął ręką nakazując chłopcu wrócić do grupy. Odczuwał nieprzepartą chęć, żeby znów otworzyć tę przepiękną księgę i poznać wszystkie zawarte w niej tajemnice. Podeszedł do ogniska, usiadł i zatopił się w lekturze.

Schariff poczuł, jak ktoś łapie go za ramię i pcha w stronę reszty nieszczęśników skulonych na ziemi. Po chwili cała grupa została sprawnie związana. Widać było wielkie doświadczenie porywaczy w tego typu zajęciach.

Leżał wśród towarzyszy niedoli, a więzy wpijały mu się w nadgarstki i kostki stóp. Słyszał jak chłopcy cicho płaczą, niektórzy się modlą, a inni leżą bez ruchu, jak martwi.

Nie mogę tu zostać – myślał Schariff. – Jeżeli nie ruszę dalej, to wszystko przepadnie i z doliny zostaną zgliszczona. Muszę coś wymyślić! Muszę!

Czuł, jak wzbiera w nim panika. Nakazał sobie spokój, chociaż miał ochotę zerwać się i pokuśtykać związany w mrok nocy. Wiedział, że równałoby się to samobójstwu – ognisko oświetlało wszystko jasnym blaskiem, strażnicy chodzili tam i z powrotem z bronią gotową do strzału, a więzy trzymały mocno. Była tylko jedna możliwość. Schariff zacisnął powieki i skoncentrował się tak mocno, że pot wystąpił mu na czoło. W dłoni ścisnął szary kamyczek.

- Dziadku! – wołał w myślach. – Dziadku! Pomóż mi!

To kosztowało go dużo energii, a że w dodatku był wyczerpany wydarzeniami całego dnia, szybko opadł z sił. Leżał tylko i patrzył w ciemność.

Nie wiedział, jak długo znajdował się w takim stanie, gdy dotarło do niego, że dookoła jest nienaturalnie cicho. Umilkły jęki i pochlipywania chłopców, nie słychać było strażników. Tylko ogień trzaskał równie głośno, jak poprzednio.

Po chwili ujrzał, jak z ciemności wyłania się postać grubej, czarnej kobiety. Nie była wysoka, ale jej tusza wystarczyłaby do obdzielenia trzech osób. Ubrana była na błękitno, a chusta w tym samym kolorze miękko otaczała jej twarz.

Kobieta stanęła obok i usłyszał jej niski, przyjemny głos.

- Jestem Ibado – powiedziała. – Przychodzę od twojego dziadka.

Schariff poczuł, że więzy opadają. Zdrętwiały powoli podźwignął się na nogi. Z zaskoczeniem zauważył, że pomimo wypowiedzianych głośno słów, nikt się nie obudził.

- Weź księgę i chodźmy – poleciła.

Ostrożnie skradał się do dowódcy oddziału, który zasnął z książką w ręce. Wstrzymując oddech i ignorując krople potu, które spływały mu po twarzy, Schariff delikatnie wyjął mu ją i szybko się oddalił. Przy jednym z legowisk znalazł na swój skarb.

- Chodź. – Ibado ponagliła go, jednak chłopiec zatrzymał się niezdecydowany. Wskazał na śpiące dzieci.

- A oni?

- Nie możesz uratować wszystkich. – Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy. – Tych chłopców musiałbyś budzić bardzo długo, bo ich sen nie jest naturalnym snem. Potem rozbiegliby się po okolicy, a rano wystarczyłoby kilka godzin, by żołnierze ponownie wszystkich wyłapali. Próbując ich ratować, straciłbyś czas, którego tak bardzo ci potrzeba do ratowania twojej wioski. Musisz wybrać.

Schariff spojrzał ciężko na zwiniętych w kłębki towarzyszy niedoli i podszedł do Ibado.

- Chodźmy.

- Słuszna decyzja. - Wzięła go za rękę. – Pomogę ci trochę – powiedziała, uśmiechając się tajemniczo.

Ruszyli w ciemność, a każdy ich krok sprawiał, że ziemia uciekała im spod stóp w szaleńczym tempie. Spojrzał zdziwiony na swoją przewodniczkę, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Jej oczy utkwione były gdzieś, daleko przed nimi.

Gdy świt zaczął różowić niebo na wschodzie, ujrzeli na horyzoncie białe mury misji.

- To koniec mojej drogi – oznajmiła Ibado. – Teraz musisz radzić sobie sam. Twój dziadek znalazł się na granicy życia i śmierci. Przegraliśmy wyczerpującą walkę ze Złym Człowiekiem i jego Opiekunem. Ślepy Czarownik wysłał mnie na ratunek tobie ostatkiem sił. Teraz będziesz zdany tylko na siebie. Od ciebie wszystko zależy. I pamiętaj: śpiesz się...

Ostatnie słowa Ibado rozwiały się tak, jak jej postać.

Schariff podziękował w myślach dziadkowi i ruszył w stronę budynków. Gdy dotarł do nich, misja budziła się właśnie ze snu. Chłopiec minął mur zewnętrzny i wszedł na duży dziedziniec porośnięty trawą. Ze zdziwieniem oglądał oślepiająco białe budynki o dziwnym kształcie.

Nagle usłyszał za plecami głos. Odwrócił się wystraszony i zobaczył kobietę o nienaturalnie jasnej skórze i włosach ubraną w białą sukienkę. Pytała go o coś z wyrazem troski w wodnistych oczach. Chciał odpowiedzieć, ale nie rozumiał jej języka.

- Nie rozumiem – powiedział i pokręcił głową.

Kobieta z ciężkim westchnieniem kiwnęła na chłopca idącego w pobliżu z pustym wiadrem. Ten natychmiast rzucił wiadro i podbiegł do

nich. Przez chwilę kobieta i chłopiec rozmawiali ze sobą w obcym języku, aż wreszcie chłopiec zwrócił się do Schariffa.

- Cześć. Jestem Emmanuel, a to siostra Irena – wskazał na kobietę.

- Cześć. Ja nazywam się Schariff – odpowiedział uradowany, że chłopiec zna jego mowę.

- Siostra pyta skąd jesteś i co tutaj robisz.

- Przyszedłem z południa i czekam na samolot, który mnie stąd zabierze – powiedział spokojnie Schariff.

Młody tłumacz wytrzeszczył oczy ze zdumienia i szybko powiedział coś do białej kobiety. Ta zmierzyła Schariffa zdziwionym wzrokiem i zaszeleściła po swojemu.

- Samolot, owszem, przyleci dzisiaj, ale piloci nigdy nie zabierają nikogo z krajowców. To jest niemożliwe – powtórzył Emmanuel jej słowa.

- Mnie zabierze – odpowiedział Schariff z niezachwianą pewnością, myśląc o niepozornym amulecie i zielonych kamykach zaszytych w ubraniu.

Emmanuel przetłumaczył jego słowa. Siostra Irena westchnęła i uśmiechnęła się.

- Siostra mówi, że możesz poczekać tu na samolot i sam się przekonać. A na razie chodź na śniadanie.

Schariff z radością przystał na propozycję i nie pożałował, bo jedzenie było bardzo dobre, a pełny brzuch i wesołe towarzystwo rówieśnika sprawiło, że poczuł się bezpiecznie. Dobre samopoczucie mąciło mu wspomnienie chłopców, których zostawił w obozie.

Emmanuel podjął się roli przewodnika po terenie misji. Pokazał Schariffowi szpital, kościół, szkołę, sypialnie dzieci i poletka warzyw, które uprawiali czarni mieszkańcy ośrodka.

Po obejrzeniu wszystkich tych miejsc, chłopcy usiedli w przyjemnym cieniu wielkiego drzewa.

- A teraz powiesz mi, dlaczego czekasz na samolot? – spytał Emmanuel.

Schariff stał się czujny. Milczał, tylko zerknął szybko na towarzysza. Emmanuelowi nie uszło uwagi to przestraszone spojrzenie.

- Nie martw się – uspokajał. – Ja nie chcę ci w niczym przeszkodzić, chociaż sama myśl o tym, żeby pilot cię zabrał jest szalona, bo im nie wolno tego robić.

- Dlaczego?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. – Nie wolno i tyle.

- To po co chcesz znać powód, skoro to i tak niemożliwe? – chciał wiedzieć Schariff.

- Bo może mógłbym ci jakoś pomóc. Razem łatwiej coś wymyślić. – W oczach chłopca nie było fałszu.

- Dlaczego miałbyś mi pomagać? – drażył Schariff.

Emmanuel zwiesił głowę i nabrał głęboko powietrza, jakby przygotowywał się do powiedzenia czegoś trudnego.

- Miałem brata. Był bardzo podobny do ciebie. Zawsze wszystko robiliśmy razem i razem też dostawaliśmy kijem od ojca, gdy jeden narozrabiał. Rodzice od razu wiedzieli, że drugi też maczał w tym palce.

Uśmiechnął się na wspomnienie tych chwil. Zaraz jednak posmutniał.

- Rok temu na naszą wioskę napadli bandyci. Zabrali mojego brata i innych chłopców, a rodzinę zabili. Spalili też całą wioskę. Mnie udało się uciec i schronić do kryjówki, gdzie często chowaliśmy się przed ojcem. Mojemu bratu się nie udało, a ja nie mogłem mu pomóc... – Głos mu się załamał. – Kiedy wrzucali go na ciężarówkę popatrzył w moją stronę takim samym spojrzeniem, jakie widzę u ciebie, gdy się zamyślisz. Jakbyś był pewien, że idziesz na śmierć.

Zapadło milczenie. Emmanuel ukradkiem otarł łzy, a Schariff udał, że tego nie zauważa. Zastanawiając się intensywnie, pocierał w palcach mały, szary kamyk, który nosił na sznurku na szyi. W końcu podjął decyzję.

Opowiedział nowemu przyjacielowi o tym, co wydarzyło się w wiosce, o swojej misji i o tym, co widział po drodze. Zataił tylko położenie Ukrytej Doliny.

Emmanuel z podziwem i niedowierzaniem patrzył na swojego towarzysza

- I mówisz, że posłaniec od dziadka cię uratował?

- Tak.

- Twój dziadek musi być potężny.

- No... Chyba tak... – Schariff nigdy w ten sposób nie myślał o dziadku. Sądził, że wszyscy czarownicy są właśnie tacy. Spytał o to Emmanuela.

Tamten skrzywił się pogardliwie.

- E, na pewno nie wszyscy. Większość to zdziecinniali starcy, potrafią tylko rzucać uroki na krowy.

- A wielu ich znałeś? – spytał z zaciekawieniem Schariff.

Emmanuel zrobił niewyraźną minę. Spotkał w swoim życiu jednego czarownika, gdy był u kuzynów w sąsiedniej wiosce.

- Ale mój tato to powtarzał, a on się na znał – dodał stanowczo i szybko zmienił temat. – To mówisz, że ten samolot może pomóc ci uratować wioskę?

- Tak. Od tego czy mnie zabierze wszystko zależy.

Emmanuel podrapał się po głowie.

- Podejrzewam, że dałoby się przekonać pilota, gdybyś miał pieniądze. Jednak nawet wtedy byłaby to trudna sprawa.

Schariff poszukał ostrego kamienia i przy jego pomocy wysupłał ze szwu koszulki jeden z zielonych kamyczków. Na jego widok Emmanuel stracił głos.

- On jest prawdziwy? – spytał po chwili.

- Chyba tak. Nasi ludzie sprzedawali je w miastach i dostawali za nie dużo pieniędzy.

- Masz ich więcej? – Emmanuel oglądał kamyk pod słońce. Podobało mu się, jak promyki tańczyły w środku.

- Tak.

- W takim razie spróbujemy.

Po obiedzie usłyszeli warkot silników samolotu. Wszyscy wybiegli na pas startowy leżący nieopodal misji. Wylądowała na nim wielka maszyna transportowa. Kilka osób wysiadło i podeszło do ubranych na biało sióstr wydających polecenia swoim pracownikom. Ci szybko zaczęli wynosić różne paczki i skrzynki z przepastnego brzucha maszyny.

Emmanuel trącił w ramię Schariffa zapatrzonego w metalowe cielsko samolotu i pokazał mu wysokiego białego mężczyznę o pomarańczowych włosach.

- To jest pilot i z nim musisz porozmawiać.... Ale nie teraz! – Złapał przyjaciela za ramię, gdyż ten zrobił już krok w stronę rudowłosego. – Poczekamy na właściwy moment.

Ten moment nadarzył się dopiero po paru godzinach, gdy załoga samolotu szykowała się do odlotu. Schariff podeszedł do pilota sprawdzającego podwozie.

- Chciałbym, żebyś zabrał mnie ze sobą – oznajmił bez wstępu.

Pilot spojrzał zdziwiony. Chłopiec wiedział, że zrozumiał, bo Emmanuel twierdził, że ten biały zna trochę ich język.

- Oszalałeś? – spytał mężczyzna. – Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo ci dobrze zapłacę.

- Ty? A skąd takie chuchro może mieć jakiegokolwiek pieniądze?

- Nie pieniądze. To – oznajmił Schariff, wyciągając rękę i otwierając zaciśniętą pięść. W zagłębieniu jego dłoni leżała garść zielonych kamieni.

Na ten widok oczy rudego załśniły pożądliwie. A Schariff, zaciskający szary kamyczek w drugiej dłoni, wiedział, że jest o krok od zwycięstwa.

- Nie, chłopcze – powiedział pilot. – Nie mogę cię zabrać. Schowaj te szmaragdy i odejdz stąd.

Odwrócił się plecami i zaczął sprawdzać wrota luku towarowego. Przepisy zabraniały mu zabierać tubylców na pokład. Bardzo chciał zostać właścicielem tej kupki szmaragdów, ale zasady to zasady.

Nagle w oddali rozległ się krzyk: „Bandydzi! Bandydzi jadą!”

W misji wybuchło zamieszanie. Przestraszeni ludzie biegali w różne strony. Pilot skoczył do drzwi samolotu, chcąc jak najszybciej uciec z niebezpiecznego miejsca. Nie zdążył wsiąść do samolotu, a poczuł, jak coś szarpie go za koszulę. Odwrócił się i znów zobaczył czarnego chłopca.

- Jeżeli mnie nie zabierzesz, to kamyki wpadną w ręce bandytów, którzy kupią za to broń – powiedział, potrząsając zaciśniętą dłonią i patrząc rudemu pilotowi głęboko w oczy. Ten po chwili wahania, wepchnął go do wnętrza maszyny. W środku szmaragdy dyskretnie zmieniły właściciela, a zadowolony Schariff usiadł na pustych skrzynkach przy oknie. Gdy samolot nabierał prędkości przed startem, minęli Emmanuela stojącego przy pasie i machającego ręką. Schariff wiedział, jak wiele zawdzięcza nowemu przyjacielowi, który chwilę wcześniej wszczął fałszywy alarm, zmuszając tym samym pilota do podjęcia decyzji.

Schariff miał nadzieję, że kamyk, który zostawił Emmanuelowi, sprawi mu wiele radości.

Podróż samolotem trwała kilka godzin i pomimo skrajnej niewygody panującej w luku towarowym, Schariff był zachwycony. Przez małe,

brudne okienko zobaczył jak wielki jest świat. Widział stada antylop i słoni pasące się na sawannie, gołe skały, wysokie góry w dali, wielką rzekę, aż wreszcie jego oczom ukazało się morze piasku. Niedługo potem wylądowali.

Gdy tylko pilot otworzył drzwi, Schariff wyskoczył z samolotu.

Zobaczył trzech mężczyzn zawiniętych w błękitne chusty, idących w jego kierunku. Stanęli, z nad zasłon na twarzach przypatrywały mu się trzy pary uważnych oczu.

- Witaj – przemówił jeden z nich. – Czekaliśmy na ciebie.

III.

Zbliżał się najgorętszy moment dnia – południe. Schariff, ukryty w cieniu skał, sięgnął po bukłak z wodą. Zwilżył tylko wargi - wiedział, że musi oszczędzać płyn, skoro ma mu wystarczyć do wieczora.

Już trzeci dzień spędzał w tym wypalonym przez słońce miejscu. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęło się morze piasku, którego monotonię przerywały z rzadka wyspy skał. Jedną z nich, o kształcie iglicy, ciągle miał na oku. Wypatrywał postaci, która według ubranych na błękitno mężczyzn, mogła się tam znaleźć. Mogła, ale nie musiała. Rozumiał, że może czekać na demona w nieskończoność. W dodatku potrzebował szczęścia, żeby demon zjawił się akurat tutaj i to na tyle szybko, by zdążyć uratować jego wioskę. Jeżeli w ogóle zgodziłby się na to.

Siedząc w wielkim upale od kilku godzin, Schariff myślał nad tym, jak wiele zależy od szczęścia i przypadku. Miał nadzieję, że Ibado, Opiekun jego dziadka, zdoła mu pomóc w swoim świecie i skierować tu właściwą istotę. Wiedział jednak, jak wątpliwa jest na to szansa.

Myślał o wiosce. Próbował nie poddawać się rozpacz, powoli ogarniającej jego serce. Nie był w domu od tylu dni! Może w tym czasie Zły Człowiek wrócił już, a z nim banda żołnierzy? Może podczas, gdy on tu siedzi i beczynnie czeka na wytwór fantazji dziadka, oni wszyscy już nie żyją?

Zaraz jednak sam zgał się za brak wiary. Przecież widział Ibado, trzymał ją za silną, chłodną dłoń. To nie mogła być tylko jego bujna wyobraźnia. A może jednak? Powieki zaczęły mu opadać.

Z drzemki wyrwało go dziwne uczucie Obecności. Otworzył oczy z podświadomą pewnością, że ten, na którego czekał, już jest.

Podniósł wzrok na szczyt skalnej iglicy. Zobaczył na niej sylwetkę człowieka. Wydawała się niewiele większa od niego samego. Był rozzarowany niewielkimi rozmiarami demona. Spodziewał się kogoś dwa razy większego, kto uderzeniem pięści będzie rozbijał skalne bloki. Zaraz jednak skonstatował, że dziadek i Ibado na pewno wiedzieli, co robią, wyrażając się z takim szacunkiem o tej istocie. Wielokrotnie przekonywał się, że to nie rozmiar świadczy o prawdziwej sile. Zwłaszcza, że czuł już aurę tej istoty.

Zerwał się na nogi przerażony, że przybysz może zaraz zniknąć. Był zły na siebie, że stracił tyle czasu na gapienie się, zamiast od razu

przystąpić do działania. W rzeczywistości jego wahanie trwało ułamki sekund.

Najszybciej, jak mógł pobiegł w stronę iglicy. U jej stóp padł na kolana i wygrzebawszy z torby księgę, wyciągnął ją przed siebie. Głowę opuścił nisko nie tylko, jako wyraz szacunku, ale też z lęku, jaki u stóp skały sparaliżował jego serce.

Nasilenie aury mocy, której świadomość towarzyszyła mu od przebudzenia, jeszcze się wzmogło, niemal wgniatając chłopca w piasek. Przed sobą dostrzegł zawinięte do góry czubki czarnych butów. Schariff wiedział, że zwrócenie na siebie uwagi demona to nie wszystko, dopiero teraz zacznie się prawdziwa bitwa. Zdał sobie sprawę, że to, co przeżył do tej pory miało go do niej przygotować. I miał nadzieję, że tak się stało.

- Błagam cię, szlachetny demonie, o pomoc dla mojej wioski. W zamian ofiaruję ci tę bardzo cenną księgę.

To była formułka, której nauczył go dziadek. Nie wywołała jednak żadnej reakcji ze strony stojącej przed nim istoty. Buty ani drgnęły.

Źle – pomyślał. Musi coś zrobić, żeby istota zdecydowała się wziąć podarunek. Nie miał pojęcia, co, ale wiedział, że to decydująca chwila, jeden zły ruch i wszyscy w dolinie zginą. Zrobił pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy, otworzył przed demonem swoje serce.

Opowiedział o tęsknocie za matką, której twarzy nie pamiętał, ale pamiętał czułe kołysanki, które mu śpiewała. O odwadze i prawości ojca, który starał się chronić swoje dzieci i prowadzić je właściwą drogą. O pięknie i delikatności siostry, która starała się mu zastąpić matkę. O mądrości i poświęceniu dziadka, którego tak bardzo kochał, a który już pewnie nie żyje zużywszy resztkę sił, by go ratować. O spokoju i szczęściu swojej wioski, i o tym wszystkim, co miało zginąć z powodu jednego Złego Człowieka.

Gdy skończył swoją opowieść, po policzkach płynęły mu łzy. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął płakać. Poczł się wyczerpany.

Ledwie zauważył, że książka zniknęła z jego dłoni. Gdy to dotarło do zmęczonego mózgu Schariffa, od ulgi zakręciło mu się w głowie. Nieśmiało spojrział do góry. Istota przeglądająca księgę była dosyć wysoka, szczupła i jasnoskóra, cała spowita w czerń i tak samo, jak nomadowie, którzy go tutaj przyprowadzili, miała zasłoniętą twarz. Za to oczy, które nagle spojrzały na niego, nie były z tego świata.

Kiedyś ojciec zabrał go do jedynej kuźni w dolinie, żeby zobaczyć, jak wyrabia się narzędzia potrzebne w gospodarstwie. Chłopca zauroczyła barwa płynnej stali i żar od niej bijący. Oczy demona miały podobny kolor, ale zdawało się, jakby ich żar był tysiąckroć potężniejszy. Spojrzenie tych ognistych oczu wbijało się w niego, poczuł się, jak kolba kukurydzy obierana z liści – nagi, bezbronny i zbyt przerażony, by móc się ruszyć.

Nagle siła spojrzenia demona osłabła, a on sam wrócił do księgi.

- Czego oczekujesz w zamian? – spytał pozornie bez zainteresowania.

Schariff ze zdziwieniem stwierdził, że głos należy do kobiety. Był niski i lekko schrypnięty, ale zdecydowanie kobiecy.

- Chcę, żebyś zabiła tych, którzy przyjdą zniszczyć wioskę i zrobiła tak, żeby nikt nigdy nie mógł jej odnaleźć. – Z wrażenia ledwie mówił, ale nieśmiało pomyślał, że chyba wygrał.

- Zgadzą się – powiedział demon i schował księgę pod połami obszernego szaty. – Muszę jednak znać dokładne położenie twojej wioski i czas, jaki nam pozostał.

Tutaj Schariff znalazł się w kropce. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i jak z tego miejsca dotrzeć do Ukrytej Doliny. Zmartwiony nie zauważył nawet kiedy istota przytknęła mu palec do czoła. Przed jego oczyma zaczęły przelatywać obrazy z całej podróży jakby oglądane od tyłu.

- Hmm... – mruknął demon. – Ostatnie chwile, ledwo zdążyłeś. Musimy się śpieszyć.

Poparzyła w zamyśleniu na Schariffa, a on spoglądając w jej ogniste oczy czuł, jak wiruje, a świat wokół niego rozplywa się w niebycie. Głos demona wyrwał go z tego dziwnego stanu.

- Masz dwa wyjścia. Wracasz tą samą drogą, co w najlepszym razie potrwa kilka dni, albo zaryzykujesz przejście ze mną innym światem. Muszę cię jednak ostrzec, że przejście innym wymiarem może skończyć się dla ciebie fatalnymi skutkami. Możesz umrzeć, możesz stracić jakąś kończynę, albo przeciwnie – możesz zyskać dodatkowe. Możesz oślepnąć, oniemieć, albo zostać sparaliżowany. Równie dobrze może ci się nic nie stać. Decyzja należy do ciebie.

Schariff nie zastanawiał się długo.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Dobrze.

Czarna postać otworzyła ramiona.

- Chodź – usłyszał. – Ukryję cię, a ty nie możesz się ani odezwać, ani poruszyć, niezależnie od tego, co się będzie działo.

Chłopiec kiwnął głową, poły płaszcz szczelnie go otuliły. Natychmiast znikł upał pustyni zastąpiony innym gorącym bijącym od istoty, którą obejmował w pasie. Było to przyjemne ciepło. W nozdrza uderzył go zapach, którego nie potrafił rozpoznać, tylko trochę podobny do zapachu dymu z palonego drewna.

Nagle poczuł, że się unosi, jakby jego ciało nic nie ważyło. Jakimś zmysłem wiedział, że się przemieszczają, chociaż nie wykonywali żadnego ruchu. Słyszał dziwne dźwięki, tak obce, że nawet nie próbował ich identyfikować. Nagle jego plecy ogarnął lekki chłód, chociaż brzuch i piersi wciąż były przyjemnie rozgrzane.

Niespodziewanie zatrzymali się. Schariff poczuł, jak ciało demona sztywnieje. Usłyszał obcy głos przemawiający w nieznanym języku. Było w nim coś takiego, że ciarki przeszły mu po plecach. Jednocześnie chłód, dotąd ledwo wyczuwalny zmienił się w przenikliwie zimno. Demon odpowiedział w tym samym dziwnym języku opanowanym tonem, ale przebiła z niego wrogość.

Zimno zmieniło się w paraliżujący mróz, który ogarniał go falą idącą od stóp. Schariff wyobrażał sobie jak jego skórę zaczyna pokrywać szron, omijając tylko te miejsca, gdzie jego ciało stykało się z ciałem demona.

Gdy fala zbliżyła się do serca, poczuł na plecach dłoń swojej opiekunki, od której promieniowało gorąco. Po chwili po szronie nie było śladu.

Usłyszał, jak demon wysyczał coś gniewnie i chłód całkowicie zniknął. Ruszyli, ale dalszej drogi już nie pamiętał.

Ocknął się. Leżał na czymś twardym i niewygodnym. Wszystko dookoła było smolście czarne. Domyślił się, że demon przykrył go płaszczem i spróbował go odsunąć, jednak zaraz przekonał się, że nie ma żadnego płaszcza. Spanikowany zaczął wymachiwać rękami, a w jego gardle wzbierał rozpaczliwy szloch. Był przerażony. Znalazł się nie wiadomo gdzie, sam, ślepy, opuszczony przez tą, której zaufał.

- Spokojnie - usłyszał znajomy głos.

Spojrzał tam skąd dochodził głos i zamiast wszechogarniającej czerni zobaczył gorejącą postać. Przeraził się, że jego demon płonie, ale po chwili zorientował się, że sylwetka, którą widzi nie pali się, ale jest uformowana z płomieni. Jest Ognistą.

Schariff odetchnął z ulgą – demon jest bezpieczny, a on nie jest całkiem ślepy.

Ogień podszedł i uklęknął, biorąc głowę chłopca w dłonie i badając ostrożnie.

- Widzisz coś?

- Tak, ciebie – odparł.

- I jak mnie widzisz?

- Jako płomień.

Istota wydała się zadowolona

- Dobrze. Podczas przejścia przez inną sferę straciłeś wzrok. Chociaż nie, to złe określenie. Twój sposób widzenia uległ przekształceniu, widzisz teraz to, co wcześniej było ukryte przed ludzkim wzrokiem - aury. Gdy rozwinięsz umiejętność takiego patrzenia, będzie ci służyła równie dobrze jak zwykły wzrok, ale dodatkowo będziesz potrafił dostrzec prawdę, niezależnie od tego, jak głęboko będzie ukryta.

Schariff z zaciekawieniem rozglądał się, próbując dostrzec coś więcej niż czernią. Powoli zaczęły się z niej wyłaniać bladezielone cienie roślin, delikatne jak mgła kontury skał, wyraźniejsze świetliste kropeczki owadów biegających dookoła. Z oczu chłopca popłynęły łzy ulgi. Znowu widział! Inaczej niż przedtem, ale jednak widział. Chwała ci Allahu! Miał jednak wrażenie, że to nie Allahowi należała się w tym wypadku wdzięczność.

- Gdzie jesteśmy? – spytał pospiesznie, odsuwając od siebie teologiczne dylematy.

- Niedaleko twojej wioski. Czekamy na tych, których mam zabić.

- A wiec zdążyliśmy...

- Tak. W ostatniej chwili.

Chłopiec spróbował przyjrzeć się okolicy, ale wszystko wyglądało inaczej. Tyle, że wydawało mu się jednak, iż rozpoznaje niektóre elementy krajobrazu. Zrobił kilka niepewnych kroków na próbę. Potknął się tylko raz, ale to uświadomiło mu, że jeszcze wiele będzie musiał się nauczyć, by móc swobodnie poruszać się w tym świecie cieni.

- Już są!

Głos demona otrzeźwił go, odrywając od zabawy w poznawania nowego świata. Spojrzał w kierunku wskazanym przez istotę. Na razie widział tylko świetliste punkciki ptaków krążące ponad cieniami skał, ale to wystarczyło, by być pewnym, że nadciągają.

Po pełnej napięcia chwili oczekiwania, Schariff zobaczył pierwszych ludzi schodzących z przełęczy. Ich aury były brudnopozielate, a u niektórych niemal czarne.

Gdy pojawiło się więcej osób, chłopiec krzyknął bezwiednie. Pośród szarych, popielatych i prawie czarnych aur, zobaczył kłębiącą się czernią. Wyglądało to tak, jakby sylwetki ludzi utkane były z wciąż przelewającej się czarnej mgły. Chwilami widział, wyłaniające się z niej ohydne kształty.

- Co to jest? – spytał przerażony.

- To pomniejsze demony, w jakie zmienili się ludzie za życia – wyjaśniła ognista istota. – Gdy człowiek codziennie zadaje okrutną, bezsensowną śmierć, przyczynia innym straszliwych mąk i odczuwa z tego powodu radość, to dusza takiego człowieka staje się duszą demoniczną. Dołącza do hordy Mrocznych Żniwiarzy, monstrów karmiących się śmiercią i cierpieniem. Taki kraj, jak ten, stale pogrążony w wojnie, jest dla nich prawdziwym rajem i niewyczerpaną spiżarnią.

Schariff przyglądał się im w skupieniu.

- Dużo ich... - zauważył.

Doliczył się trzydziestu siedmiu, a jeszcze nie wszyscy bandyci pojawili się w polu widzenia.

- Sporo – zgodziła się istota. – A tam, po prawej, to jakaś grubsza ryba.

Schariff spojrział w tym kierunku. Rzeczywiście. Mroczna dusza idącego tam człowieka była całkowicie uformowana. Wyraźnie widać było olbrzymie kozie rogi wygięte do tyłu, trójkątną głowę i pysk pełen wielkich i ostrych zębisk.

- To chyba ich szef – szepnął, jakby bał się, że potwór go usłyszy.

- Niewątpliwie – stwierdziła istota. – A teraz idź stąd i dobrze się ukryj. Wróć po zachodzie słońca.

Chłopiec spróbował zaprotestować. Chciał zobaczyć walkę z bliska, ale jego własny demon uciał sprawę krótko.

- Już cię nie ma.

Schariff potykając się pobiegł. Gdy był już daleko, usłyszał, jak ognisty demon wymawia niezrozumiałe słowa głosem chrapliwym od nieopanowanej żądz. Przeraziło go to bardziej niż Żniwiarze Śmierci idący do wioski. Przyśpieszył.

/

Słyszała oddalające się niepewne jeszcze kroki niewidomego chłopca. Gdy uznała, że znalazł się w bezpiecznej strefie, skupiła się na przybyszach schodzących z przełęczy.

Oddział liczył czterdziestu dwóch mężczyzn, większość zupełnie straciła już dusze. Ubrani byli w wojskowe spodnie, zielone lub czarne podkoszulki i narzucone na nie bluzy wojskowe. Wszyscy bez wyjątku

mieli okulary przeciwsłoneczne. Oczy są ponoć zwierciadłem duszy - czy więc za czarnymi szklami chcieli ukryć, że zamiast duszy mają już tylko mrok?

Ognista mrugnięciem powiek zmieniła płaszczyznę, na której obserwowała przybyszów.

Niemal wszyscy Mroczni Żniwiarze wydawali się słabi i niedoświadczeni. Najwyraźniej niedawno przeszli przemianę. Tylko kilku wyglądało na takich, co znają się na swojej robocie. Prawdopodobnie niejedno żniwo zebrali.

Natomiast dowódca tej bandy był inny – nie był przemieniony, ale opętany przez demona czystej krwi.

Ognista uśmiechnęła się brzydtko. O, tak, ten mógł zapewnić jej niezłą rozrywkę.

Czuła, jak ogarnia ją rozkoszne podniecenie przed walką, a ogień w żyłach zaczyna szybciej krążyć. Gdzieś głęboko w środku bestia obudziła się i szarpnęła mocno więżącym ją łańcuchem.

- O, tak... – szepnęła głosem ochrypłym od przepełniającej ją żądz mordy. – Chodźcie tu do mnie i dajcie mi radość i całą energię, jaką posiadacie. Postarajcie się bronić swoich nędznych żywotów, jak tylko potraficie najlepiej.

Ruszyła.

Gdy pierwsi bandyci ją zobaczyli, już biegła w ich kierunku. Podnieśli karabiny, by zastrzelić tę dziwną, śmiejącą się opętańczo istotę, która poruszała się tak nieprawdopodobnie szybko. Nigdy wcześniej nie zwrócili uwagi na fakt, jak dużo czasu zajmuje przyłożenie karabinu do ramienia.

I to była ostatnia myśl w ich życiu.

/

Schariff ukrył się pomiędzy skałami, jak kazał demon. Znalazł jednak miejsce, skalną półkę, z którego mógł dobrze widzieć sceny rozgrywające się w kamienistej dolince.

Widział, jak bandyci, którzy chcieli zniszczyć jego dom i całą Ukrytą Dolinę, giną z ręki wezwanego przez niego demona. Widział, jak Ognista z niemal nieuchwytną dla oka szybkością tańczy pomiędzy nimi, rozrywając ich ciała, jakby były zrobione z gałganków. Szmaciane laleczki z karabinami. Zauważył, jak pochyla się nad nimi na mgnienie oka, a oni gasną, jak świece. Przez jedną chwilę myślał, że wpadła w kłopoty, gdy kilku Żniwiarzy rzuciło się na nią jednocześnie, zakrywając swoimi ciałami. Zaraz jednak olbrzymia siła wyrzuciła ich w górę. Zginęli zanim dotknęli ziemi. Ci byli ostatnimi. Został dowódca.

Chłopiec zafascynowany patrzył na „swojego” demona. Teraz, otoczony wielkimi płomieniami sprawiał wrażenie olbrzymia, natomiast jego przeciwnik, koziogłowa istota, nie wydawała się już straszna.

Walka pomiędzy tą dwójką trwała dłużej, ale nawet tak niedoświadczony obserwator, jakim był Schariff wiedział, że Ognista bawi się swoim przeciwnikiem. Niczym kot z wyjątkowo wojowniczą myszą, by

w pewnym momencie ruchem niemal niezauważalnym rozerwać mu gardło i wysać z niego życie. Koziogłowy bladł i kurczył się, jego pysk wykrzywiało coraz większe przerażeniem, aż znikł zupełnie.

Nad pobojobowiskiem zapadła głucha cisza, wypełniło ją brzęczeniem much krążących nad rozerwanymi ciałami żołnierzy.

Słońce zaczęło chować się za górami. Ognista ostatni raz upewniła się, że nie pozostał nikt przy życiu i wolnym krokiem ruszyła w kierunku skalnej półki. Widząc to, Schariff zerwał się i uważnie patrząc pod nogi, ruszył w jej kierunku.

Sam nie bardzo wiedział, co czuje. Był wstrząśnięty widokiem bezlitosnej rzezi, ale też czuł satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku, bo wioska została ocalona. Może byłoby mu trudniej pogodzić się ze śmiercią tylu ludzi, gdyby nie widział obrzydliwości ich dusz. Ale je widział i to wystarczało. Gdy myślał o sprowadzonym przez siebie demonie czuł mieszankę lęku, podziwu i wdzięczności. Bał się jej, ale wobec niego zawsze była uczciwa i nawet trochę opiekuńcza.

Teraz siedziała na głazie i ocierała usta chustą. Dobrze jednak widział na jej płonącej twarzy ciemne plamy – ślady krwi.

- Wypełniłam część swojego zobowiązania – powiedziała patrząc chłopcu w oczy. – Teraz wykonam resztę. Zaczekaj tu – powiedziała.

I zniknęła.

Zobaczył jej ogień daleko, na nawisie skalnym nad przełęczą. Wydało mu się, że tupnęła nogą i skała zaczęła drżeć. Po chwili pojawiła się na skale po drugiej stronie przełęcz i zrobiła to samo. Odłamki skał nie zdążyły jeszcze zasypać przejścia, a Ognista stała znów obok chłopca i przyglądała się widowisku, jakie sama zgotowała. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Teraz twoja wioska jest chroniona przed niebezpieczeństwem z zewnątrz. Jesteśmy kwita, chłopcze. Czy tak?

Zobaczył, jak dwie krople płynnej stali wpatrują się w niego wyczekująco.

- Tak. Jesteśmy kwita – szepnął.

- Powiedz swoim ludziom, żeby posprząтали zwłoki, bo już jutro w tutejszym słońcu zaczną śmierdzieć. I pamiętaj. – Tu głos jej stwardniał. – Nigdy nikomu nie możesz powiedzieć, co tutaj zaszło. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

- Bo jeżeli komuś powiesz, a ja się o tym dowiem, to zabiję wszystkich, których kochasz, a ty będziesz żył z brzemieniem winy. To samo zrobię, gdy ty albo ktoś od ciebie jeszcze raz poprosi mnie o pomoc. Najlepiej będzie, gdy o mnie zapomnisz.

- Zapomnę – posłusznie obiecał Schariff, ale oboje wiedzieli, że kłamie. Nigdy nie zapomni tego, co zobaczył dzisiaj swoim nie-wzrokiem, ani demona stworzonego z ognia.

- Idź. Zanieś swoim ludziom dobrą nowinę. – Popatrzyła na niego w szczególny, obnażający duszę sposób. – Dobrze się spisałeś. Możesz być z siebie dumny.

Zniknęła. Schariff stał w milczeniu celebrując chwilę. Czuł, że właśnie kończy się w jego życiu coś niezwykłego, co sprawiało, że był kimś

wyjatkowym, co dało mu możliwość zobaczenia rzeczy, jakich nikt nie widział. Gdy odwróci się i ruszy w stronę wioski znów stanie się Schariffem – drobnym, czarnym chłopcem o cienkich kończynach, który wraz z innymi będzie chodził paść kozy i rwać kukurydzę z pól. Był też pewien, że jednym z jego ulubionych miejsc w wiosce stanie się kuźnia.

Obrócił się na pięcie i pobiegł potykając w stronę Ukrytej Doliny. Gdy do niej dotarł, sprawiała wrażenie opuszczonej. Nigdzie nie było widać ani ludzi, ani zwierząt. Biegał od chaty, do chaty i wołał imiona siostry, ojca, przyjaciół, sąsiadów. Odpowiedziała mu cisza. Gdy minęła panika, zrozumiał, że wszyscy musieli się schronić w jaskini i tam się skierował.

Nie przeszedł nawet połowy drogi, gdy zza skał usłyszał swoje imię wykrzykiwane z niedowierzaniem. Zaraz też na ścieżkę przed nim wyskoczyło kilku mężczyzn. Z trudem rozpoznał w jednym nich najbliższego sąsiada. Pomyślał o pierwszej rzeczy, jaką zrobi, gdy cała sytuacja już się uspokoi – będzie musiał nauczyć się aur wszystkich mieszkańców wioski, by rozpoznawać ich bezbłędnie.

- Schariff, to naprawdę ty? – pytał sąsiad, dotykając go, by sprawdzić czy na pewno nie jest duchem. – Przeżyłeś!

- Tak, to ja – śmiał się chłopiec, myśląc jak to dobrze znów być wśród swoich. – Cały i zdrowy.

- Ale twoje włosy... I oczy... – zaczął niepewnie drugi mężczyzna, ale zaraz został uciszony przez towarzyszy.

- Porozmawiamy później, a teraz musisz się szybko ukryć z innymi – ponaglał sąsiad. – Bandyci zaraz nadejdą.

- Nie macie się już czego obawiać – powiedział spokojnie Schariff. – Bandyci nie przyjdą. Nie żyją.

- Jesteś pewien? – spytał ostrożnie drugi mężczyzna.

- Tak. Moja misja się powiodła.

Mężczyźni byli skonsternowani. Chcieli uwierzyć chłopcu, choć dobrze wiedzieli, że bandyci są tuż, tuż.

- Sami jutro zobaczycie – Schariff wzruszył ramionami. – Będziecie musieli uprzątnąć zwłoki, więc przekonacie się, że nie kłamię.

- Jeżeli to prawda, to oznacza, że jesteśmy uratowani! – Niezachwiana pewność w głosie chłopca obudziła w nich nadzieję. – Chodźmy do jaskini. Niech i inni usłyszą tę wspaniałą nowinę.

Poszli.

Ludzie w kryjówce musieli zobaczyć ich już z daleka, bo Schariff zobaczył pędzącą w ich stronę postać, a po głosie rozpoznał ojca.

- Synu! Synu! Wróciłeś!

Ahime porwał chłopca w ramiona i przytulił mocno, nie przejmując się tym, że takie zachowanie mu nie przystoi. W chwilę potem rozświetlając pochodniami szybko zapadający wieczór, nadeszli mieszkańcy wioski. Nad ich poruszone głosy wzbili się dziewczęcy pisk:

- Schariff!!! – To Darsa biegła, by objąć brata. Nigdy nie czuł się szczęśliwszy.

- Jakie masz zabawne białe włosy! Jak dziadek – zauważyła dziewczyna i po chwili dodała: - Ślicznie w nich wyglądasz. Jak owieczka.

Białe włosy? Schariff nie przypominał sobie, by demon cokolwiek wspominał o takich konsekwencjach po wyjściu ze świata duchów. Może nie wydało mu się to istotne. I miał rację. Nie było.

- Jak to dobrze, że już wróciłeś – stwierdził ojciec. – Szkoda tylko, że odbyłeś tę całą drogę na marne.

- A kto powiedział, że na marne? – tajemniczo uśmiechnął się chłopiec. – W każdej chwili możecie wrócić do wioski. Bandyci nie przyjdą.

Reakcja przybyłych była identyczna z reakcją napotkanych wcześniej mężczyzn – niedowierzenie przemieszane z nadzieją. Jeden przez drugiego dopytywali się czy jest tego pewien, czy rzeczywiście nic im już nie grozi? Podawali sobie tę nowinę z ust do ust, pozwalając by nadzieja i ulga przeważyły nad ostrożnością i niedowierzaniem. Niektórzy zaczęli tańczyć i śpiewać z radości.

- A gdzie dziadek? – spytał Schariff.

Ojciec i siostra posmutnieli.

- Walczył długo, by zmylić drogi Abu Bakkara, oby imię jego było przeklęte na wieki, i zyskać dla ciebie trochę czasu – wyjaśniła Darsa. – To było ponad jego siły, umarł kilka dni temu.

Chłopiec posmutniał, chociaż mógł się tego spodziewać. Żał po stracie dziadka wycisnął łzy z jego wyblakłych nie-widzących oczu. Był wdzięczny staremu Czarownikowi, że do ostatka mu pomagał, choć przypłacił to życiem.

- Mam coś dla ciebie od niego – powiedziała Darsa i z woreczka na szyi wyciągnęła ogromny wisior z zielonego kamienia.

- Ależ to talizman czarowników! – wykrzyknął chłopiec, bezbłędnie rozpoznając moc ukrytą w kamieniu.

- Tak – potwierdził Ahime. – To ciebie dziadek wybrał na swojego następcę.

Zgromadzeni mieszkańcy wioski patrzyli na Schariffa z szacunkiem.

- Ale dlaczego ja? – spytał chłopiec, wpatrując się w amulet, który dla niego jarzył się silnym zielonym blaskiem.

- Jeszcze pytasz? – zdziwił się Starszy, któremu dopiero teraz udało się dopchać do chłopca. – To ty przecież odbyłeś drogę, na końcu, której odkryłeś swoje przeznaczenie. To ty sprowadziłeś demona, by uratował naszą wioskę, nieprawdaż?

- Wybaczcie, ale nie wolno mi o tym opowiadać.

- Dobrze, chłopcze, dzisiaj przy ognisku opowiesz nam tyle ile możesz, a jutro zejdziemy do wioski – zdecydował Starszy.

- Zgoda.

Darsa pociągnęła brata w stronę jaskini.

- A teraz załóż na szyję swój amulet, Czarownikowi i chodź coś zjeść, bo pewnie jesteś głodny, jak lampart.

Ahime popatrzył w zamyśleniu na przywódcę wioski, gdy zostali sami na półce przed jaskinią.

- A jednak wszystko skończyło się dla nas dobrze. Kto by pomyślał?

- Ja tam nie wątpiłem w to ani przez chwilę – oznajmił starzec. – Przecież Czarownik nie wysłałby ukochanego wnuka na pewną śmierć.

- Pewnie masz rację, ale ja zaczynałem wątpić w zdrowe zmysły starego – przyznał się Ahime.

- Co było, to było – podsumował filozoficznie Starszy. – A teraz chodź do jaskini, bo wyłopią całe piwo bez nas.

Monika Sokół

Zachodnia Dolina Gausy, sierpień 2009